Odłożona rozmowa o Polesiu i Kresach

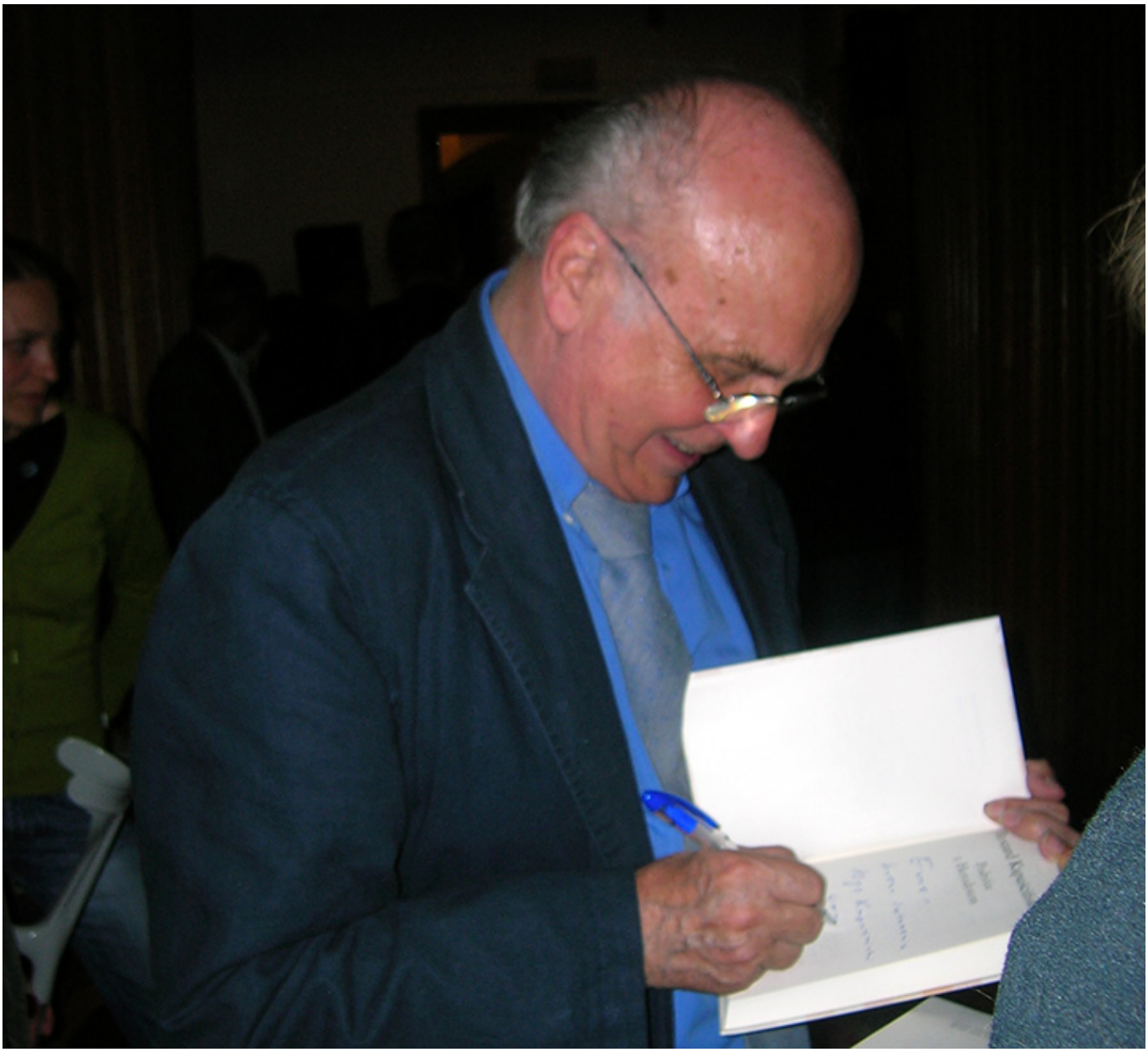

Ryszard Kapuściński w Domu Literatury w Warszawie, 2 października 2006 r., fot. R. Mieczkowski

Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Widziałem Go ostatni raz 2 października 2006 r. w Domu Literatury, na Krakowskim Przedmieściu, w Warszawie. Podczas wieczoru poetyckiego. Siedzieli we trójkę na

scenie, w wypełnionej, rzadko ostatnio, po brzegi sali. W środku – Julia Hartwig, bohaterka spotkania, która miała cykl spotkań z okazji swego 85-lecia. Obok – jej przyjaciele – Ewa Lipska, pełna optymizmu i witalności, która zagaiła ten wieczór, zaś po lewej stronie pani Hartwig – właśnie Kapuściński. Mówił cichym, bardzo spokojnym głosem, o wątkach reporterskich w jej twórczości, uśmiechając się pogodnie.

Po spotkaniu miał pełne ręce roboty – co rusz podchodzono do Niego po autografy. Każdy chciał z Nim zamienić choć parę słów, zrobić razem zdjęcie. Był na topie – jego kandydaturę zgłoszono do Nagrody Nobla, dyskutowano półgłosem o szansach dla kolejnego Polaka. Odczekałem aż będzie wolniejszy i zapytałem pisarza:

– Kiedy Pan znajdzie trochę czasu na tę naszą rozmowę, która ciągle się odkłada?

Odpowiedział, że dłuższa to może być rozmowa. Że więcej czasu raczej będzie chyba miał już po powrocie z Ameryki, dokąd ma wyruszyć z wykładami na Uniwersytecie Columbia… Zapewnił mnie, że na pewno da mi znać, że musi się zastanowić co do terminu, że również chce ze mną porozmawiać.

A miała to być szczególna rozmowa. Od dawna chciałem bowiem porozmawiać z Mistrzem Reportażu. Nie o szerokim świecie, dalekich krajach i zaskakujących puentach w postrzeganiu *innego* obok, nawet nie o tajemnicy bycia poetą – co o rodowodach Jego rodziny, o Polesiu, którego czar do dzisiaj żyje we wspomnieniach ludzi stamtąd się wywodzących, o Pińsku. Chciałem pokazać mu zdjęcia z Jego rodzinnego miasta i Polesia, wykonane przez Zofię Chomętowską. Pierwsze pochodzą z roku 1916, inne z lat dwudziestych. Dotarły one do mnie okrężną drogą, zwycięsko pokonując czas i wszystkie niedogodności losu aż z Argentyny. Przysłał mi je w darze, jako redaktorowi, piszącemu o ludziach z dawnych Kresów, Antoni Koelichen, z życzeniem, abym w odległych czasowo i bliższych terytorialnie praźródłach ojcowizny przybliżył sobie tamte strony, przysłał mi te unikalne zdjęcia z przekonaniem, że zostawia je „w pewnych rękach”.

Chciałem zapytać Kapuścińskiego o Jego przedwojenne dzieciństwo, o pierwsze kroki człowieka z Kresów w Polsce. O tym, czym ta kraina jest dla Niego dzisiaj. Tak się stało, że o tym znacznie mniej wiemy – wątki, pozornie monotonne i mniej ciekawe dla większości Jego rozmówców, niczym błota, mokradła i rozlewiska

Polesia, zostały przyćmione dalekimi podróżami reportera i Jego rozważaniami nad pojęciem etyki i tolerancji w dzisiejszym świecie.

Miała to więc być rozmowa rodaków ze Wschodu, których łączy osobliwa nić porozumienia, jak stwierdził Pan Ryszard. Dla mnie – uczta słuchania, dowiedzenia się wielu istotnych rzeczy, poznanie Kapuścińskiego z tej, mało eksponowanej strony.

Sławnego reportera poznałem w dość dziwnych okolicznościach. *Pierestrojka* weszła u nas w swą burzliwą fazę przemian. Na Litwie zaczynało na dobre wrzeć. W 1989 roku zawitał do Wilna Ryszard Kapuściński. Nie wiem, w jaki sposób odnalazł mój telefon i kto Mu go dał, w każdym razie zadzwonił do mieszkania na Karolinkach, gdzie wówczas mieszkaliśmy, i poprosił o spotkanie. Po chwili przybył, chyba taksówką, razem z Piotrem Ikonowiczem. Już na wstępie dostałem ofertę współpracy z PAP, co więcej, Kapuściński wręczył mi coś w rodzaju akredytacji czy legitymacji, po polsku i po angielsku, dokument z odpowiednią pieczęcią, co pozostało gdzieś w papierach, ale już w innym mieszkaniu.

Ale moje losy tak ułożyły się, że i z tej oferty, jak i z wcześniejszej oferty robienia doktoratu W Instytucie Kulturoznawstwa we Wrocławiu, u prof. Stanisława Pietraszki, wyszły nici – z początku byłem zaangażowany mocno w działalność pierwszej po wojnie społecznej organizacji polskiej, której byłem współzałożycielem, wiele czasu wymagała praca w telewizji, gdzie prowadziłem magazyn cotygodniowy, owładnęła też mną redaktorska pasja przy wydawaniu „Znad Wilii”, pełna na tamtym etapie niepewności i trudnych zakrętów. Tym niemniej wysłałem jakieś informacje pod wskazany adres.

Znajomość odnowiła się na początku roku 2005, po tym, jak spotkaliśmy się w Warszawie, podczas wręczenia nagród przez redakcję „Rzeczpospolitej”.

– Śledziłem w ciągu lat pana działalność – powiedział wtedy podczas przyjęcia. – Jak się panu powodzi?

Zamiast opowiadać, dałem Mu numer kwartalnika „Znad Wilii”, jaki miałem ze sobą.

Po pewnym czasie otrzymałem list, datowany 13 marca 2005 roku. Znany reporter i

poeta pisał:

> *Drogi Panie Romualdzie,*
>
> *Było mi przyjemnie spotkać Pana na uroczystości wręczenia Nagrody Dariusza Fikusa i chociaż przez chwilę z Panem porozmawiać. Dziękuję za ofiarowany mi 4 numer kwartalnika „Znad Wilii”. Jestem pełen podziwu, uznania i szacunku dla tego, co Pan i Pańscy współpracownicy robicie na Litwie, zachowując tak wysoki poziom pisarski i informacyjny.*
>
> *Życzę Panu wszystkiego najlepszego i załączam szczere, przyjacielskie pozdrowienia.*

Odpisałem na ten list. I właśnie wtedy zaczęła kiełkować chęć dłuższej rozmowy, chęć słuchania tego niezwykłego człowieka. Potem spotykaliśmy się przy okazji wieczorów literackich, m.in. w warszawskim Klubie Księgarza, w Muzeum Adama Mickiewicza.

Ryszard Kapuściński odezwał się, jak mówił przy okazji ostatniego spotkania. W ostatnim e-mailu, datowanym 28 października 2005 roku, ubolewał, że na razie nie możemy się spotkać, bo intensywnie pracuje nad kolejną książką – *Lapidarium VI,* zaś spotkania i rozmowy Go bardzo rozpraszają. Prosił o wyrozumiałość, wyrażając nadzieję, że takie spotkanie na pewno się odbędzie…

Kapuściński był jak znikający punkt…

Książka Marka Kusiby o Ryszardzie Kapuścińskim

Marek Kusiba (z lewej) z Ryszardem Kapuścińskim przed domem rodziny Connable (w roku 1920 mieszkal tam Ernest Hemingway), 2 grudnia 1996 r. podczas wizyty reportera w Toronto z okazji otrzymania Nagrody im. Turzanskich), fot. D. Kuprel.

Roman Sabo-Walsh

Kim jest reporter? Człowiekiem słuchu i człowiekiem spotkań.

W 2018 r. ukazała się książka o spotkaniach i słuchu dwóch reporterów – Mistrza Kapuścińskiego i czeladnika Kusiby[1]. Zapytałem autora o ten tytuł. Wyjaśnił: – Z daleka dlatego, że pisałem tę książkę z oddalenia, z Kanady, i z perspektywy północnoamerykańskiej oraz obecności Kapuścińskiego na tym kontynencie, obecności literackiej w przekładach i wywiadach, tudzież spotkaniach z czytelnikami (bywał często w Nowym Jorku, Toronto, czy w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie mieszkają jego siostra i córka); a z bliska dlatego, że znałem go osobiście, przez wiele lat się przyjaźniliśmy i często rozmawialiśmy, a rozmowy notowałem, z tych notatek i wspomnień powstała ta książka.

„Pisałem ją długo, praktycznie przez cały okres znajomości z Ryszardem” – wyznaje

Kusiba we Wstępie. Czego uczeń nauczył się od mistrza? Konkretu frazy, szacunku dla czytelnika, któremu należy się wywód klarowny oraz duża doza zaufania, gdyż będąc inteligentnym, pojmie. Jak również pięknej sztuki uhonorowania hierarchii – w tej książce od początku do końca wiadomo, komu należny jest szacunek i kto oraz dlaczego ten szacunek okazuje.

Otwarcie „raptularza" spotkań autora z twórczością Kapuścińskiego jest reportażem – sprawozdaniem z lektury tekstów opowiadających przy pomocy doniesień z dalekiej Afryki o rzeczywistości ustrojowej Polski z lat sześćdziesiątych. Kusiba przypomina, że kontekstowe pisanie było cechą szczególną Ryszarda Kapuścińskiego na długo przed *Cesarzem*, sugerując zapewne, że przez wszystkie 50 lat swoich peregrynacji po świecie Kapuściński trzymał się zasady objaśniania Polski przez świat i poznawania świata przez szczególny pryzmat swojej polskiej wrażliwości. A przy okazji powstaje tekst o peerelowskich latach przeżytych przez ucznia, studenta, młodego reportera, zakotwiczony przez Kusibę w konkretnym języku, z odtworzoną specyfiką fraz, pojęć, zdarzeń i przemian. Otwierający klamrę opowieści o demoralizujących praktykach studenckich lat sześćdziesiątych, domykający ją fragmentami reportażu Kapuścińskiego z Nowej Huty – czternaście lat po Ważyku, Kapuścińskim, sytuacja robotnika jest nadal taka sama – praca nie ma sensu, demoralizuje, jest harówą.

Kim jest Reporter?

> *Piszę tę książkę, bo chcę się podzielić z Czytelnikiem spotkaniami i rozmowami z Ryszardem Kapuścińskim. Ale muszę się do czegoś przyznać: ja nadal niewiele o nim wiem. Skrywał, zatajał, chronił swoje prywatne życie, nie dawał się poznać, nie zwierzał się nigdy, choć są w naszych spotkaniach wymowne momenty. Był zdyscyplinowanym wykonawcą narzuconych sobie nakazów, zakonnikiem własnej ostrej reguły i klauzury[2].*

Kapuściński nigdy nie dał się nikomu namówić na wywiad-rzekę. Jednocześnie sugerował młodszemu reporterowi, że właśnie napisany przez niego tekst będzie świetnym początkiem książki o… Kapuścińskim. I napominał – tylko jeszcze nie teraz, jeszcze za wcześnie. Pojętny uczeń, który przewertował i przemyślał wszystko, co o Mistrzu napisano, milczy na temat tych, którzy myśląc, że wiedzą bardzo dużo, albo i

wszystko o reporterze, układali sążniste teksty, włącznie z pseudo-biografią.

Kim jest uczeń? Reporterem o karierze, piszę to bez przesady, przerwanej w tym słynnym decydującym momencie fotografika Henri Cartier-Bresson'a, przez urzędników ubeckiego PRL-u. „Rozmowy ostrzegawcze" służby bezpieczeństwa w stanie wojennym miały taki, mniej więcej, przebieg: *Pan wie, panie redaktorze, że my wiemy, gdzie jest pańska żona, która właśnie ma zamiar przejść na drugą stronę ulicy, pan wie, tam gdzie zawsze taki wściekły ruch, i gdzie samochód mógłby się nie zatrzymać przed przejściem dla pieszych, którym żona pana redaktora właśnie przechodzi na drugą stronę ulicy pchając przed sobą wózek z dzieckiem…*

Z owocnego trudu lektury tekstów ucznia aż po rok 1984, przełomowy rok emigracji do Kanady, wynika co następuje: Kusiba zaczynał swoje reporterskie życie jak wszyscy – od dobrych chęci, patosu przedstawień, słów czasem zbyt wielkich, moralizujących konstatacji. Kończył, będąc reporterem białostockich „Kontrastów" i „Gazety Współczesnej", stylem prostym, nośnym, stawiającym fakt i sprawozdanie przed fanaberiami reportażysty. Byłby reporterem klarownym, inteligentnym, spostrzegawczym, uczciwym, trzeźwo przedkładającym fakty nad emocje, empatię nad obojętność. Ciekawym przedmiotu opisu, troskliwie układającym opis ze słów nośnych, zdań solidnych, wieści godnych uwagi i dokładnie sprawdzonych. Czyli reporterem, który po latach przerwy, uprawiania różnych poletek piórem – szczególnie felietonowego – wraca jako autor reportażu biograficznego i autoreportażu zarazem *Ryszard Kapuściński z daleka i z bliska*, którego bohaterem jest reporter, świat, i obopólne oddziaływanie.

Świat zmieniający się na naszych oczach. Do niepoznania? Czy do zrozumienia? Kusiba opisuje ciekawy wyjątek z tego nowego świata, torontońską bibliotekę uniwersytecką, wielką betonową bryłę w samym centrum miasta, znienawidzoną np. przez węgierskiego poetę na wygnaniu w Kanadzie, Georga Faludy. Bryła bryłą, nieadekwatna klimatyzacja, za to dostęp do wszystkich półek i godziny otwarcia od wczesnego rana do 24-tej. Kapuścińskiego uderzył

> *Wygląd tłumu studenckiego. Toronto? Ależ jestem raczej w Pekinie czy w Seulu, w Tokio, w Singapurze, w Kuala Lumpur […]. Azja opanowała wyższe uczelnie Nowego Świata (…)[3].*

Zastanawiając się nad tą obserwacją, autora tych słów, pomieszkującego kątem w Toronto (między innymi w jeszcze nie wynajętych, czy właśnie zdanych mieszkaniach bloku zarządzanego przez ciecia – jak sam siebie nazywa – Kusibę w samym centrum miasta) i z konieczności narzuconych przez koczowniczy styl życia właściwie czyniącego z biblioteki dom, ten wielorasowy świat również fascynował, co nie znaczy, że nie zdawał sobie sprawy z potwornego braku proporcji. Gdy opuszczał mury biblioteki zamykanej na cztery spusty o północy, był promilową mniejszością w przejętym sprawą kształcenia obcojęzycznym tłumie, na który składały się setki pilnych studentów.

Obie te uwagi, jakże lapidarne, są zaledwie zapisem spostrzeżeń, nie oferując refleksji nad tym, do czego to opanowanie bibliotek przez azjatycki świat może doprowadzić. Wielkość Chin, nie tylko rozwijących się ekonomicznie z szybkością światła, ale coraz agresywniej zachowujących się w świecie bezustannych zmian, czy to w Azji czy w Afryce, sprawnie przejmujących spuściznę wpływów i uzależnień od wycofujących się ze świata Stanów Zjednoczonych, oparta jest między innymi na wiedzy i ekspertyzie tych wszystkich absolwentów zachodnich uniwersytetów, tych oddanych sprawie wykształcenia inteligentnych, pracowitych, pokornie akceptujących zasady rozwojowe swoich państw prymusów.

Oczywiście, że podczas lektury książki Kusiby pojawia się myśl o zasadność jej powstania. Jaki sens pisania o nim we współczesnej Polsce. Różne odpowiedzi przychodzą na myśl, włącznie z tą o największym przegranym polskim reportażyście. Coż z tego, że hołubiony na świecie? Cóż z tego, że istnieje nagroda Jego imienia; że organizuje się konferencje, skoro Kapuściński nie zaistniał w polskiej szkole, na polskich uniwersytetach, a w powszechnej polskiej współczesnej świadomości zdaje się go po prostu nie być. Tak ważne dla Kapuścińskiego sprawy jak przejęcie się losami świata jako wspólnoty odpowiedzialności; otwarcie na Innego, między innymi przez próbę zrozumienia jego racji; pojęcie zgrozy czającej się za powszechnym pędem do dobrobytu za wszelką cenę, nie należą do języka współczesnej Polski. Za to dużo w nim braku poszanowania odmienności, zgody na neonazyfikację Europy; mantr o pasożytach i pierwotniakach, roznoszonych przez ludzi szukających schronienia przed okrutną wojną czy głodem, przypisanej im cholerze w Grecji, czy dezynterii w Wiedniu.

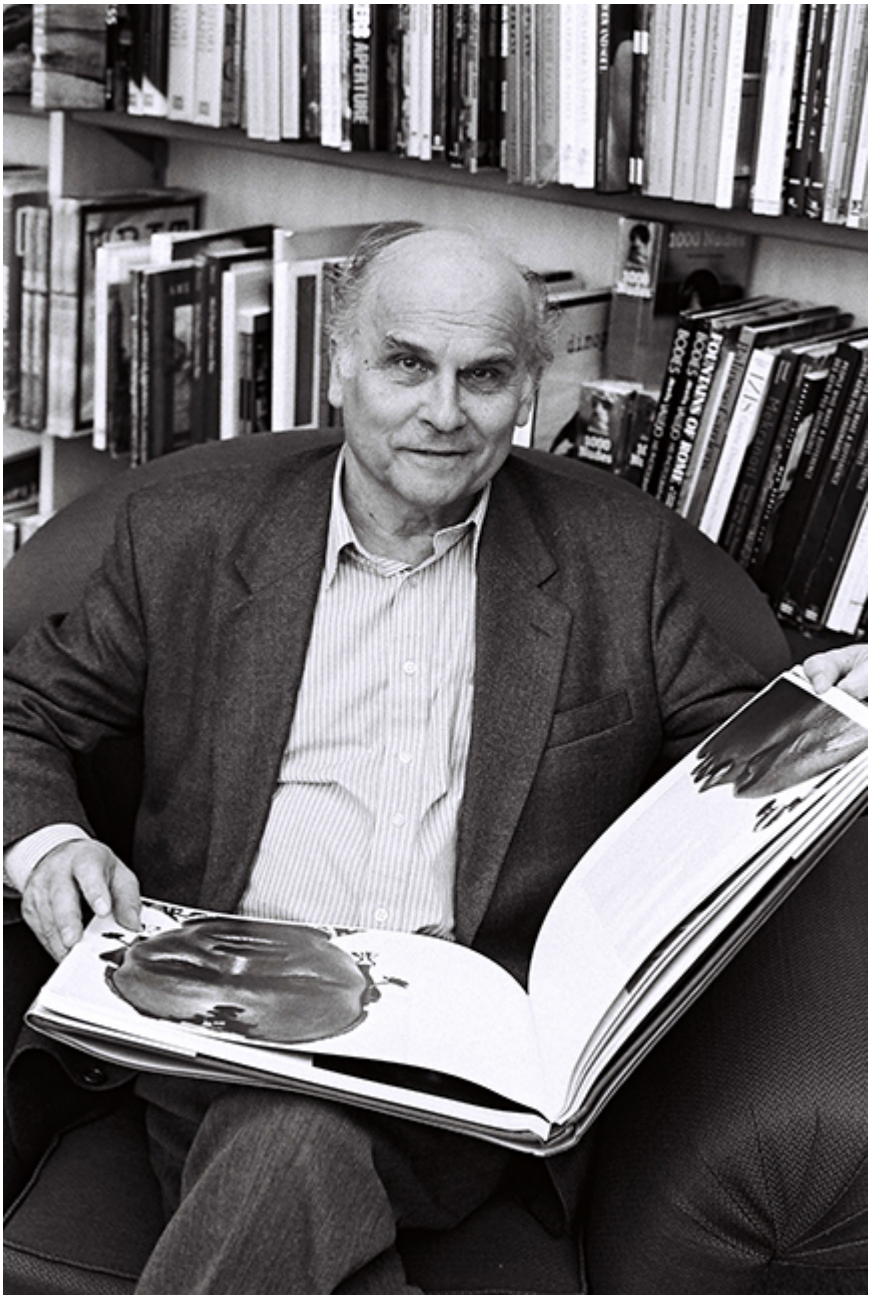

Ryszard Kapuściński, fot. Marek Kusiba.

Skrajnie prawicowi politycy lubią wysługiwać się ludzkim nieszczęściem. Widać to jak na dłoni w Polsce, ale widać to również w dzisiejszej Kanadzie. Mimo iż przeszło 40 tys. syryjskich uchodźców zostało bezkonfliktowo wchłoniętych przez 37-milionowe kanadyjskie społeczeństwo przed końcem roku 2017; mimo iż w 2017 otoczono opieką 20 000 uchodźców z USA przechodzących nielegalnie na kanadyjską stronę granicy z obawy przed antyemigracyjną polityką Trumpa, w przedwyborczej kampanii kanadyjscy konserwatyści uderzają w tony tak bliskie sercu przywódców, premierów, liderów, prezydentów: brak kontroli, rozpasanie migracyjnych mas, zanikające poczucie bezpieczeństwa wśród przeciętnych Kanadyjczyków,

nierozważne szafowanie publicznymi środkami, wydawanymi na obcych. Dwa najbliższe lata pokażą, czy tak bliska sercu Kapuścińskiego Kanada, kraj akceptacji, uśmiechu, zamieszkiwany przez wszystkie ludy świata, polityki życzliwej odmiennościom wielokulturowości, obroni się przed zżerającą już teraz Europę nieufnością do Innego, agresją wobec odmienności, powrotem w brunatną lub zaledwie izolatystyczną przeszłość.

A Kapuścińskiemu inaczej świat się układał w całość. Podczas wspólnej podróży z autorem po „ścianie wschodniej" 20 maja 1997 roku Kapuściński

> *(…) wspomina wczesne wyprawy na Suwalszczyznę i Białostocczyznę, gdy pisał reportaże dla „Polityki" zamieszczone później w „Buszu po polsku" (1962). Chętnie się tu wyprawiał z Warszawy, rozumiał niuanse językowe chłopów mówiących „po prostemu". Dobrze się czuł w wielojęzykowym i wieloreligijnym przekładańcu, bo tu i Rzym, i Bizancjum, katolicyzm i prawosławie, ale też islam; to ziemia kościołów, cerkwi, meczetów (dwóch czynnych, w Bohonikach i Kruszynianach) i synagog (nieczynnych). Tęsknił do Polski mozaikowej, niejednorodnej religijnie i etnicznie, jaką pamiętał z dzieciństwa w Pińsku, ojczyzny skleconej z Polaków, Białorusinów, Litwinów, Żydów, Tatarów, Niemców, Ukraińców, Łemków, Bojków, Wołochów, Karaimów, Cyganów i kogo tam jeszcze. Polskość kwitła zawsze najbujniej na podściółce wielorakich zapożyczeń kulturowych[4].*

Tragiczność postawy Kapuścińskiego związana jest również z ignorowaniem głównego przesłania prawie tysiąca stron lapidarnych zapisów, prostej w zasadzie, a jakże trudnej do wprowadzenia w życie w świecie pęczniejącym od miliardów pazernych stworzeń: trzeba ten świat kochać, troszczyć się o niego, pielęgnować.

A przecież świat powoli wpada w łapy rwaczy, przekonanych że filozofia rwactwa, przywłaszczania sobie wszystkiego bez miary i chwili refleksji, jakby trumny miały kieszenie, jest nie tylko zbożna, ale i uzasadniona przez tezy prymitywnego społecznego darwinizmu.

Opowieść o Ryszardzie Kapuścińskim, który „był jak znikający punkt" pióra Marka Kusiby, to coś więcej niż raptularz czy autoreportaż. Książka Kusiby to okazja to przemyślenia kilku niepokojących procesów przeobrażających nasz współczesny

świat, tak bardzo – by odwołać się do Timothy Snydera – zaangażowany w odwrót od demokracji. Trudno jest w tym momencie przewidzieć, co zwycięży – troska czy rwactwo – władzy, przywilejów, kasy. Zbyt wielu rządców naszego współczesnego, globalnego, uzależnionego od siebie świata, przypomina Afrykańczyka Deda, budującego swój zamek z piasku, w opisie którego obecne są podstawowe zasady budowania nowego światowego ładu:

> *Ded otrzepuje dłonie, jego zamek stoi już gotowy. Nic nie będzie zmieniał, tak jest najlepiej. Mocna i zwarta konstrukcja, bez poprawek i bez przebudowań, dzieło ręki, która się nie waha. Wysokie mury, kanciaste zabudowania, cień na dnie dziedzińca[5].*

Na koniec uwaga merytoryczna.

Dywagacje Kusiby na temat czy był Kapuściński *gonzo*, czy nie był, sprawiają wrażenie desperackiej próby terminologicznego usankcjonowania dokonań polskiego reportera na planie światowego reportażu. Dopóki trzymamy się amerykańskiego, a przecież nie amerykańskiego określenia *gonzo*, za bardzo nie wiemy w czym rzecz. Mówią, że on *Gonzo* – a niech sobie będzie *Gonzo*, byle nie Gonzalo. Jeżeli jednak pod puste znaczeniowo *gonzo*, podstawimy reportaż sowizdrzalski, reportaż łotrzykowski, *gonzo* pęknie jak mydlana bańka, i raz jeszcze zdamy sobie sprawę z odmienności dokonania Kapuścińskiego. O ileż bardziej – skoro już musimy wysługiwać się językami innych ludów – *sierioznego* w zamierzeniach, praktyce i dokonaniach. Zwłaszcza, że mamy już *gonzo* domowego chowu, *Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian* Ziemowita Szczerka, reportaż tyle obrazowy, co kontrowersyjny, mający za zasadę bezustanne obrażanie Ukraińców, co ma uzasadnić zasadność *pointy*: no i z kogo się śmiejecie, z samych siebie się śmiejecie.

Jeżeli słuszna jest lapidarna definicja samego Kapuścińskiego, że styl *gonzo* „zakłada uczestniczenie w zdarzeniach hedonistycznych, w skandalach itp. (…)”[6], którą zaczerpnął Kusiba z *Lapidarium*, pióro samo ciągnie po papierze myśl o hedoniźmie nędznych lepianek czy zakaraluszonych pokoików hotelowych, często opisywanych z ewidentną zgrozą przez autora *Hebanu*. A przecież te wszystkie ekstremalne osiągnięcia Kapuścińskiego biorą się z przedindustrialnej epoki, w której reporter uprawiał swój samotny zawód, wysyłany w świat bez środków do godziwego życia;

nieubezpieczony, bez jakiegokolwiek zaplecza, stając się uczestnikiem ekstremalnego doświadczenia. Jeżeli dopisało mu szczęście, wracał i opowiadał, jeżeli nie, czytelnik czytał na klepsydrze: urodził się, zmarł tragicznie, pogrążeni w żałobie. Jeżeli Hunter S. Thompson to *gonzo*, Kapuściński nim po prostu być nie może, tak jak buta uszytego na lewą nogę nie da się wygodnie nosić na prawej.

A teraz już najpoważniej na świecie – cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie. Nasza polska kultura piśmiennicza jest jak niezaorana, bujnie kwitnąca zielem rozmaitem wąska miedza. Jakże bogata w indywidualności. Poezja polska to kilka zaledwie nazwisk, ale przecież na lekturę, zachwyty, przeżycie piękna, i wyciągnięcie z tego wszystkiego wniosków, jednego życia nie starczy. Polska proza – podobnie. Polski reportaż – dzięki Ci panie Boże, że mamy tylko jednego takiego Kapuścińskiego – życia za mało, żeby a) przeczytać, b) pojąć, c) zachłysnąć się, d) wdrożyć.

Jest wśród nas, nad czym włos na czworo rozszczepiali bohaterowie omówionej książki, ogromnie dużo chamstwa. A tuż obok – wszystkie dziesięć ośmiotysięczników Himalajów poezji, prozy, reportażu. Tylko że Himalaje nie są dla wszystkich, wymagają hartu ducha, wieloletnich przygotowań i wyrzeczeń. A zapierające dech w płucach panoramy warte są każdej kropli potu.

Dr Roman Sabo-Walsh jest poetą, tłumaczem i eseistą, mieszkającym w Vancouver, BC.

Ryszard Kapuściński we wspomnieniu Marka Kusiby:

Ryszard Kapuściński – poeta reportażu

---

[1] Marek Kusiba: *Ryszard Kapuściński z daleka i z bliska*, Znak, Kraków 2018, s. 352.

[2] Tamże, s. 12.

[3] Tamże, s. 109.

[4] Tamże, s. 161.

[5] Tamże, s. 35.

[6] Tamże, s. 289-291.

Ryszard Kapuściński – poeta reportażu

4. III. 1932. – 23. I. 2007.

Ryszard Kapuściński i Marek Kusiba (z prawej), 2 grudnia 1996 r. podczas wizyty reportera w Toronto z okazji otrzymania Nagrody im. Turzanskich), fot. D. Kuprel.

Marek Kusiba

W dwanaście lat po śmierci Ryszarda Kapuścińskiego zainteresowanie twórczością autora *Cesarza* nie maleje. Jest czytany w czterdziestu językach, choć pisał w niszowym, w skali świata, języku czterdziestu milionów. Stał się *guru* żurnalistów na całym globie, zwłaszcza w krajach zachodnich demokracji, pracując w peerelowskich mediach. Był i pozostał mistrzem kilku pokoleń reporterów, choć „tanecznym krokiem przekraczał granicę ku literaturze”, jak pisał jego niemiecki tłumacz Martin Pollack, a nawet ją unieważnił i podniósł reportaż do rangi sztuki, jak pisała wybitna

badaczka tej twórczości Beata Nowacka. Nazywano go kompozytorem słów, jego proza olśniewa prostotą i poetyckim pięknem obrazowania.

Kapuściński był badaczem inności, kolekcjonerem skarbów, ukrytych w szczegółach. Jego dzieła cechuje niezwykła intensywność i żarliwość prawdziwego odkrywcy. Frapowały go inne kultury, zwyczaje, religie. Był w tej dziedzinie samoukiem, władającym biegle sześcioma językami, których nauczył się po to, by móc zanurzać się w światach Innych. Budował syntezę świata naczyń połączonych, globalnej wioski, o której pisał na długo przed Mc Luhanem. Malował zarazem portret świata podzielonego, ale pięknego w swej różnorodności. Jako wyznawca teorii Bronisława Malinowskiego o równorzędności kultur uważał swoje dzieło za jedną, wielotomową księgę świadka nowego, postkolonialnego świata, jaki zaczął się wyłaniać na przełomie lat 50. i 60. XX wieku. Wtedy odbywał swoje pierwsze podróże do Indii, Japonii, Chin, Afganistanu, Pakistanu, Afryki. Na Czarny Kontynent i do Ameryki Łacińskiej wracał wielokrotnie w ciągu swych pięćdziesięcioletnich, reporterskich pielgrzymek, przywożąc materiały do książek, które potrafił pisać tylko w swej pracowni w Warszawie. Jego przedwczesne odejście w wieku lat 74 oznacza w Polsce koniec epoki wielkich mistrzów reportażu. Dołączył do dwójki klasyków tego gatunku: Melchiora Wańkowicza i Ksawerego Pruszyńskiego.

W świecie uznawany był za jednego z najwybitniejszych twórców literatury faktu i jednego z największych pisarzy. Nad Wisłą nie nadawano temu pisarstwu, ani temu pisarzowi, należytej rangi: nie dostał Nike, ani żadnej większej nagrody literackiej, nie mówiąc o Orderze Orła Białego. Podczas gdy książki Kapuścińskiego stoją na półkach w amerykańskich i kanadyjskich redakcjach – jako materiały źródłowe do wiedzy o krajach tzw. Trzeciego Świata i nauki pisania – w polskich szkołach dziennikarskich Kapuścińskiego po prostu nie ma, nie uczy się na jego książkach ani sztuki zatrudniania słowa, ani etyki zawodowej. Nie ma go także w lekturach obowiązkowych w szkołach średnich czy na studiach wyższych, choć jego książki najlepiej objaśniają współczesny świat, albo jak dosadnie napisał Geoff Dyer w recenzji z *The Shadow of the Sun* (angielski tytuł *Hebanu*):

> *Kapuściński dał najmniej stronnicze, najwierniejsze, najbardziej wyczerpujące i barwne świadectwo, jak wygląda życie na naszej planecie.*

Wojażer Kapuściński przez pół wieku, niczym etnolog, peregrynował na nieodwiedzane przez innych tereny, był w stu krajach, pisał o dwudziestu, towarzyszył narodzinom postkolonialnego świata, poznał dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy ludzi. Trudno znaleźć drugiego dziennikarza w skali globu o takiej skali doświadczeń, rozległości wiedzy i znajomości wybranej tematyki, którą było – w największym skrócie – życie ludzi biednych. Dlatego nie sposób odtworzyć świata jego reportaży, bo już praktycznie nie istnieje, albo jest prawie nie do poznania. Nie można przejść drogi pisarza, ale można powędrować przez świat jego twórczości, spróbować odczytać na nowo jego dzieła, bo – jak pisał Charles Ross:

> *najbardziej odkrywczą biografią artysty jest biografia jego sztuki.*

Probowałem to zrobić – ale nie tylko to – w swojej książce o Ryszardzie Kapuścińskim, wydanej pół roku temu nakładem krakowskiej oficyny Znak. Zaznaczam, że nie jest to biografia, co najwyżej reportaż biograficzny, raptularz moich spotkań z tym pisarstwem i pisarzem – w dwóch krajach na dwóch kontynentach, na przełomie dwóch wieków.

Ryszard Kapuściński i Marek Kusiba (z lewej), 2 grudnia 1996 r. podczas wizyty reportera w Toronto z okazji otrzymania Nagrody im. Turzanskich), fot. D. Kuprel.

Znaliśmy się 27 lat, i były to lata bogate w rozmowy, spacery, przejażdżki samochodem po Warszawie i Toronto, wschodniej Polsce i południowym Ontario, a także wspólne, niekiedy humorystyczne doświadczenia. Jak wyznała w swoim wspomnieniu o Ryszardzie, drukowanym na tych stronach Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Ryszard

> *miał rzadką cechę całkowitego skupienia się na osobie, z którą rozmawiał. Pytał każdego o jego sprawy, wiedział, jakie są ważne sprawy dla jego znajomych i przyjaciół. A miał ich całe rzesze.*

Doświadczyłem tego na spotkaniu z Kapuścińskim w Toronto, w grudniu 1996 r. Próbowałem bezskutecznie skrócić rozmowę pisarza z trzystuosobową widownią, bo widziałem, że słania się na nogach, ale ważniejsi od planu, scenariusza (i zdrowia) byli ludzie. Z punktu widzenia uczestników spotkań autorskich Ryszard posiadał zaletę, która była utrapieniem dla organizatorów: moralny imperatyw udzielenia

odpowiedzi na wszystkie pytania z sali. Odpowiedział, a potem podpisał jeszcze blisko dwieście książek i z każdym potencjalnym akolitą uciął sobie pogawędkę. Gdy wróciliśmy do jego hotelu, wyznał, że jest „happeningiem”, że nigdy nie wie, jak się potoczy rozmowa, ile będzie trwała, że to poczucie go mobilizuje. A poza tym ci ludzie przyszli na jego spotkanie, choć mogli sobie pójść do kina albo na piwo.

Szlachetność intencji, nierzadko odbierana jak naiwność, kilkakrotnie ratowała mu życie. Przygody afrykańskie (tudzież azjatyckie i amerykańskie) Ryszard opisał w reportażach, w książce koncentruję się na zdarzeniach „błahych na pozór, niewartych aż poematu”, jak pisał Tuwim w poemacie *Piotr Płaksin*, ale może wartych zapisania, bo rzucają nieco więcej światła na postać i twórczość Ryszarda Kapuścińskiego.

Toronto, 23 stycznia 2019 r.

Recenzja książki Marka Kusiby p.t. „Ryszard Kapuściński z bliska i z daleka” autorstwa Romana Sabo ukaże się w piątek 25 stycznia 2019 r.

Pomyłka

Klasztor kamedułów na Jeziorze Wigry, dziedziniec, fot. wikimedia commons.

Florian Śmieja

Do kamedułów na jeziorze Wigry zjechali się naukowcy i literaci, dziennikarze i działacze kultury, by spotkać się i porozmawiać na ciekawe tematy. To tam w końcu poznałem profesora Jana Błońskiego, jednego z laureatów nagrody dla najlepiej zapowiadających się młodych krytyków polskich, których nagrodziliśmy w Londynie w 1957 roku. (Oprócz niego nagrody otrzymali także: Zygmunt Kubiak, Andrzej Kijowski oraz Marian Pankowski).

Tam też stałem się bohaterem zabawnego nieporozumienia. Nie wiedziałem, że jestem podobny do Ryszarda Kapuścińskiego. Na Wigrach czekało na niego kilka osób znających go tylko z fotografii. Kiedy nie zjawiał się, zaczęli krążyć koło mnie i zagadywać. Koniecznie chcieli zrobić ze mną wywiad. Opierałem się i znajdywałem różne wybiegi. Ale trwała sytuacja niewyjaśniona.

Aż w końcu zjawił się Ryszard Kapuściński. Zainteresowani odskoczyli ode mnie jak niepyszni. Mówiłem mu później, że mnie wzięli za niego i nie mogłem się przed nimi

opędzić. Kapuściński wypracował sobie pozycję szczególną, a różni pomniejsi chcieli się choćby kąpać w jego blasku i mieć dowód, że otarli się o wybitność, że będą się mieli kim pochwalić.

Wróciliśmy pociągiem do Warszawy. Kapuściński szczęśliwy siedział sam w przedziale. Zdawał się rozkoszować nieobecnością pasożytów.

Nota bene, reportaże Kapuścińskiego cieszyły się i nadal cieszą wielką popularnością wśród czytelników. Oby zwracali oni także uwagę na jego zatroskanie o ambiwalentne przejawy współczesnego życia. Chwała mu za uwagę:

> *Rosnące bogactwo środków technicznych, elektroniki, wszelkich światłowodów, satelitów, kompaktów i laserów, a jednoczesne zubożenie treści, monotonia, ogłuszająca nuda.*

Rysio. Wspomnienie o Ryszardzie Kapuścińskim.

Imieniny Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, Warszawa, II poł. lat 80., od lewej: prof. Jerzy Rutkiewicz, Ryszard Kapusciński, prof. Marek Drozdowski, fot. arch. A. Z.-B.

W dziesiątą rocznicę śmierci.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Melchior Wańkowicz opowiedział mi, że poznał Ryszarda Kapuścińskiego w mieszkaniu na Puławskiej 10, że przyprowadziła go i przedstawiła Krystyna Goldbergowa, opiekunka reporterów i znawczyni gatunku reportażu.

Opowiedział mi przy tym zabawną anegdotę, którą zupełnie inaczej przedstawiła Goldbergowa w dzień pogrzebu Kapuścińskiego, gdy czytano jego wiersze w „Gazecie Wyborczej". Nie chcę tej anegdoty teraz prostować. Rysiowi kilka lat temu powtórzyłam to, co opowiedział mi Wańkowicz, a teraz zatelefonowałam do Pani Krystyny, że znam inną wersję, opowiedzianą mi przez pisarza. Zostawiłyśmy ten temat „na boku".

W archiwum Wańkowicza zachował się numer "Nowych Książek" (Nr 3, 477, 15 luty

1970), w dużej mierze poświęcony Kapuścińskiemu, z jego fotografią na okładce. W tymże numerze Wańkowicz tak napisał o dwóch książkach Kapuścińskiego (str.177):

> *Książka Ryszarda Kapuścińskiego pt. „Gdyby cała Afryka…" to wytrawny rezultat wieloletniego pobytu w Afryce. (…) Walor książki polega na tym, że autor zna Afrykę w głąb. Stąd lekkość i celność analogii, stąd szeroki wachlarz wiadomości zarówno o rozrzutności władców połączonej z prymitywizmem, jak i o zabobonach ich poddanych. Kapuściński nigdzie nie da się za daleko zapędzić w anegdoty, choć umie się nimi posiłkować. Ani nigdzie nie przybiera tonu łaskawej pobłażliwości białego człowieka.*
>
> *Książka „Kirgiz schodzi z konia"…… Ileż Kapuściński nałapał zapachów ciągnących z Gruzji, Armenii, Azerbejdżanu, Turkmenii, Tadżykistanu, Buchary! Potwierdza swoją książką, że dobry reportaż potrzebuje również artystycznych witamin.*

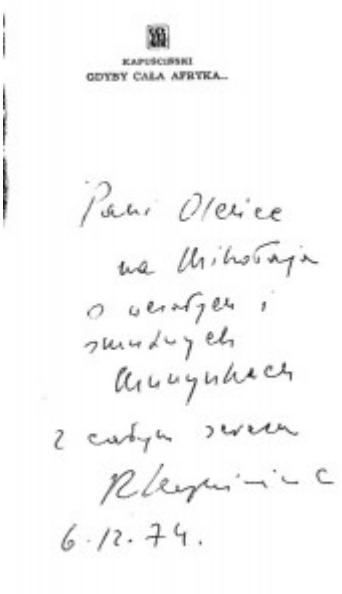
KAPUŚCIŃSKI
GDYBY CAŁA AFRYKA...

Pani Olenice
na Mikołaja
o wielkich i
zwykłych
Mikołajkach
z całym sercem
Kapuściński
6.12.74.

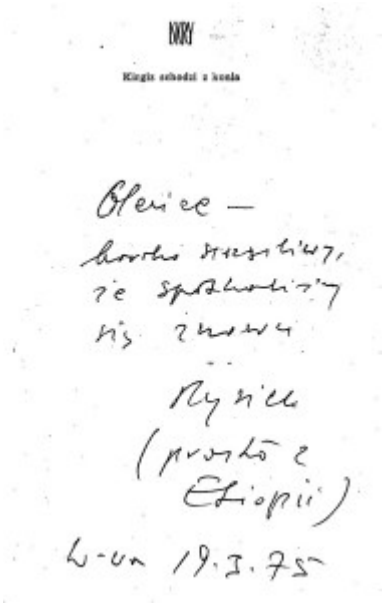

Ryszard Kapuściński po śmierci Melchiora Wańkowicza napisał w warszawskiej “Kulturze” (22 września 1974):

> *Kiedyś Wańkowicz napisał o sobie pół żartem, pół serio, że jest „pierwszym pisarzem polskim pracującym na zamówienie społeczne”. Był mistrzem reportażu, a reportaż z samej swojej istoty jest formą odpowiadania na zamówienie społeczne. Najlepszym przykładem jest jego przedwojenna jeszcze rzecz, o polskim wysiłku gospodarczym. „Sztafeta” to pierwszy w naszej literaturze wielki reportaż – produkcyjniak, który tak upowszechnił się w Polsce po wojnie i stanowi do dziś ważny nurt literatury faktu. U początków tego nurtu stoi wańkowiczowska „Sztafeta”. Wańkowicz zachęca przyszłych reporterów: nie bójcie się cyfr, to wszystko jest ważne, to ma swoją wymowę, ma znaczenie i dla tych, którzy tworzą kraj i dla tych, którzy o tym czytają. I żeby zachęcić najlepiej, bo własnym przykładem, gromadzi w „Sztafecie” tysiące informacji – ile ziemi wykopano pod fundamenty, ile wagonów cementu przewieziono, ile wyprodukujemy stali, do czego ta stal będzie użyta. Tony, hektary, metry, ceny – wszystko dokładnie wyliczone. Ale w tej powodzi cyfr, wyliczeń, statystyk, jest zawsze miejsce na żywą scenkę, na głos ludzki, na las, na człowieka i na tego zająca w Stalowej Woli, który „sadzi wyrwą między rosnącymi blokami”.*

Ryszarda Kapuścińskiego poznałam u Zenony Macużanki, ówczesnej redaktor naczelnej „Nowych Książek”, niebawem po śmierci Wańkowicza, jesienią 1974 roku. Był znany jako „doskonały reporter”, ale nie był jeszcze autorem „Cesarza”,

pierwszej książki, która zyskała szczególną uwagę i uznanie.

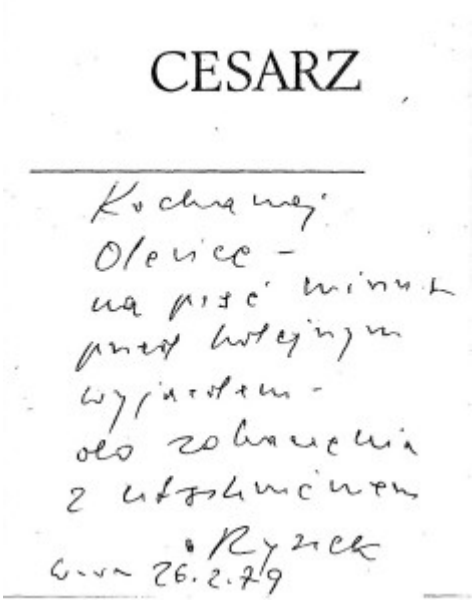
CESARZ

Kochanej
Olenice –
na pisć minut
przed kolejnym
wyjazdem –
do zobaczenia
z utęsknieniem
Ryszard
Gdańsk 26.2.79

Zwróciłam uwagę, jak serdecznie, delikatnie się odnosił do innych ludzi i do mnie, wtedy bardzo młodej, świeżo po studiach osoby. W tym okresie byłam swoistą, o ile tak mogę napisać, sensacją. Kilka tygodni wcześniej zmarł wielki pisarz, i jak się dowiedziano, w testamencie zapisał młodziutkiej asystentce swoje archiwum. Wcześniej zadedykował mi drugi tom „Karafki La Fontaine'a" (*…..bez której oddanego współpracownictwa, byłaby to jeszcze gorsza książka*, jak zabawnie napisał).

Niektórzy byli mnie ciekawi, zapraszali na spotkania, przy okazji wypytywano o Wańkowicza: jaki był "na co dzień". Nie chciano słuchać o pomniku, chciano słuchać o człowieku.

Odpowiadając na to zainteresowanie, zachęcona przez przyjaciół (Michała i Krystynę Radgowskich), także wydawcę (Andrzeja Kurza z Wyd. Literackiego) zaczęłam pisać książkę. Chciałam utrwalić chwile, które szybko zacierają się w pamięci. Nie zastanawiałam się, czy burzę jakiś mit, czy też tworzę nowy, nie chodziło mi o syntezę jednego życia, lecz raczej o ukazanie wielu dni powszednich z ostatnich lat wielkiego pisarza. Książka stała się zapisem wydarzeń, anegdot z życia w bliskości pisarza. Kiedy zastanawiałam się jak książkę nazwać, zapamiętałam radę właśnie Ryszarda Kapuścińskiego. – Musisz umieścić w tytule nazwisko Wańkowicza. Tytuł powinien być krótki, zatem dodaj jeszcze jedno słowo, na przykład: obok, blisko.

Lepiej brzmi: blisko. I tak Kapuścińskiemu zawdzięczam tytuł swojej pierwszej książki. ”Blisko Wańkowicza” wydało krakowskie Wydawnictwo Literackie w trzech wydaniach i ogromnym nakładzie. Do dzisiaj wielu czytelników pamięta moją pierwszą książkę.

Kapuściński mówił mi, że będąc polonistką, nawet z doktoratem, trudno jest nadążyć za literaturą polską i światową. Dobrze więc, gdy się ma temat wybrany, na przykład pisarza, na którego twórczości się dobrze zna.

Po latach, kiedy w 2005 roku mówiono o jego kandydaturze do Nobla, Kapuściński w portrecie/wywiadzie Bartosza Marca dla „Rzeczpospolitej” stwierdził, że spośród polskich reporterów za swoich mistrzów uważa Melchiora Wańkowicza i Ksawerego Pruszyńskiego. Powiedział także:

> *Aleksandra Ziółkowska-Bohem, sekretarka Wańkowicza, zapamiętała jego rady: powinno się mieć swoją pasję, znaleźć dziedzinę, w której jest się ekspertem i o której chce się wiedzieć coraz więcej. (Przyp. Bartosz Marzec, ZARYZYKUJ WSZYSTKO, Plus Minus, RZECZPOSPOLITA, Nr 236, 10 sierpnia 2005, str. 7).*

Na orzeczenie Nagrody Nobla czekałam, zdając sobie sprawę, jak uhonorowałoby to także literaturę faktu. Zmienia się świat, i zmienia się Polska, pamiętam, jak Kapuściński powiedział mi w początkowych latach 70., że odmówiono mu przynależności do ówczesnego Związku Literatów. Niedługo później każdy związek twórczy w Polsce i na świecie będzie dumny, że wielki reporter zechce być jego członkiem.

Przyjaźń z Ryszardem Kapuścińskim rozwinęła się i stała się jedną z cenniejszych i ładniejszych, jaką mi dobry Los ofiarował. Przetrwała ponad 30 lat, aż do mojego przyjazdu do Polski na stypendium Fulbrighta, kiedy mogłam osobiście uczestniczyć w jego pogrzebie.

Rysio, przez te wiele lat, do mojego wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, przychodził w końcu lutego na imieniny. W czasie dość licznego zgromadzenia mój mały wtedy synek, szedł do swojego pokoju i siedział sam. Tam właśnie przychodził do niego Rysio, jeden jedyny, który dostrzegł swoistą izolację i nieśmiałość dziecka. W pokoju

Tomka, na ścianie wisiała duża mapa świata. Rysio mówił mu, że marzenia o podróżach można spełnić, że można pojechać wszędzie, na przykład do Afryki.

Ryszard Kapusciński wraz z synem Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, Tomaszem Tomczykiem, Warszawa, 7.11.1990 rok, fot. arch. A.Z.-B.

Tomek jest teraz dziennikarzem, podróżnikiem, właścicielem własnego pisma na Karaibach. W Afryce był kilka razy, pracę magisterską pisał o rozbudowującej się kolei w Erytrei, w „Polityce" wydrukował duży reportaż „Sudańska fabryka głodu".

Rysio pokazywał małemu Tomkowi swój…"bokserski nos", mówiąc, że mu usunięto chrząstkę, gdyż w młodości uprawiał boks. (Dorastający Tomek także między innymi sportami zajął się boksem).

Jesienią 1975 roku pożyczyłam Rysiowi niedużą walizeczkową maszynę do pisania. Była to metalowa szwajcarska maszyna marki „Hermes". Miał jakiś kłopot ze swoją, a to była słynna maszyna Wańkowicza, o której pisarz pisał, że przeszedł Dniestr,

niosąc ją wysoko w rękach. Powiedziałam, aby mu przyniosła szczęście. Rysio zwrócił mi ją po powrocie z Angoli. Mam tę maszynę u siebie w warszawskim mieszkaniu.

Żona Ryszarda, Alicja Kapuścińska, z zawodu lekarz pediatra, była zaprzyjaźniona z lekarką mojego Tomka, dr Reginą Wańkowicz-Ponurską (kuzynką Wańkowicza). Spotykałyśmy się na wystawie fotografii Kapuścińskiego, a także u mnie na warszawskim Mokotowie przy ulicy Kmicica. Alicja przychodziła na moje spotkania autorskie. Miałam także okazję rozmawiać z Zojką, córką Rysia i Alicji, która mieszkała lata w Kanadzie. Podobnie, jak siostra Ryszarda, mieszkanka Vancouver.

Rysio miał w sobie delikatność, swoistą chłopięcość, która nie mijała z latami. Miał też skromność, i jednocześnie szczególną emocjonalność, którą widać w pięknych, niemal osobistych, dedykacjach. Ale takie właśnie pisał. Ceniło się nie tylko jego książki, ale to, jakim był człowiekiem. Miał rzadką cechę całkowitego skupienia się na osobie, z którą rozmawiał. Pytał każdego o jego sprawy, wiedział, jakie są ważne dla jego znajomych i przyjaciół. A miał ich całe rzesze. W autobiograficznej książce „Ulica Żółwiego Strumienia”, której pisanie było dla mnie swoistą terapią „polsko-amerykańską”, pisałam o Rysiu, że podziwiam u niego „dyplomatyczne umiejętności gromadzenia wokół siebie wielu przyjaciół”.

Projekt: Szymon Kobyliński

Miał zwyczaj dawania znajomym do lektury, z prośbą o komentarz, swoją przyszłą książkę. Dawał mi do czytania wiersze, czy np. Lapidaria. Pierwszy tom Lapidariów

trochę mnie zaskoczył. W formie dziennika prowadził zapiski myśli, skojarzeń, uogólnień, trochę notatek. Pisał na przykład, że warunkiem ujarzmienia społeczności jest zepchnięcie jej na niski poziom egzystencji. Zmniejszenie wygody, zwiększenie zagrożenia jest następstwem polityki tych, którzy chcą umocnić swoje panowanie. Wiedzą oni, że człowiek wyczerpany walką z tysiącem przeciwieństw jest łatwym obiektem manipulacji. Walka dla człowieka to przetrwanie, a jest to zajęcie absorbujące, czasochłonne, wyczerpujące. Pisał, że zarówno ubóstwo potrzeb, jak i ubóstwo materialne są wygodne dla władzy. Bieda osłabia i przygniata człowieka, a ktoś, kogo potrzeby są ubogie, nawet nie wie, że istnieją rzeczy, których mógłby się domagać, walczyć o nie. Nasze ocalenie? – W dążeniu do rzeczy niemożliwych do osiągnięcia. Według mnie Rysio właśnie sobie umiał stawiać cele, jakby niemożliwe do osiągnięcia.

Kiedy po ponad dwuletnim pobycie w Kanadzie na Boże Narodzenie 1983 roku wróciłam do Polski, rzeczywistość dalece odbiegała od obecnej. Pewnego dnia zatelefonował Rysio.

– Wiesz, nie mam wody w mieszkaniu… – powiedziałam.

– To normalne, nie przejmuj się. Mój kolega nie ma ogrzewania, cały dzień w wannie siedzi.

– Może grzać ręce nad gazem, słyszałam, że tak ludzie robią…

– Ale lepiej, jak wyłączą ciepłą wodę niż zimną, bo we wrzątku nie będziesz się myła…

– Ale ja w ogóle nie mam wody, wyłączyli, bo jakaś awaria. Przynosimy z Tomkiem wodę w wiaderkach z cysterny, którą podstawiono. Przed blokiem kałuża, bo woda wylewa się, wszystko zamarzło…

– Ludzie będą nogi łamać, gips będzie potrzebny, gipsu nie ma, bo nie ma dewiz…

W 1984 roku odwiedził Warszawę senator kanadyjski (polskiego pochodzenia, napisałam o nim książkę) Stanley Haidasz. Zaprosił mnie i Tomka na kolację, Rysia zaprosiłam także.

Z Haidaszem, Rysiem i z Tomkiem pojechaliśmy na kolację do „Baszty” pod Warszawę, Rysio zmienił w ostatniej chwili stolik (z ostrożności). Mówił, że Polska nie oczekuje takiej pomocy, jak kraje afrykańskie, nie potrzebuje np. kaszy, czy butów, bo tutaj ludzie nie umierają z głodu. Trzeba sobie zdać sprawę, jak ocalić naukę, dostęp do literatury, osiągnięć Zachodu. Przerwano prenumeraty pism specjalistycznych, bo nie było dewiz. Co stanie się z myślą techniczną, z nauką, medycyną, jeżeli nie będziemy wiedzieli, co dzieje się u innych, odcięci od literatury naukowej, podkreślał Kapuściński.

Senator Haidasz powiedział, że więcej dowiedział się od Kapuścińskiego niż od wszystkich ludzi, z którymi spotkał się wcześniej.

I pisma naukowe otrzymały dotacje. To się zawdzięcza Ryszardowi.

W 1984 roku literaci, artyści nie pracujący na etacie mogli otrzymać specjalne zaświadczenia z urzędów dzielnicowych, które pozwalały im na opiekę lekarską. Na warszawskim Mokotowie pracowała Wanda Rogowiczowa, wdowa po tłumaczu, urocza siwa pani z piękną kartą wojenną. Poszliśmy do niej na Rakowiecką. Ryszard mieszkał na Woli, ale przyrzekła zatelefonować na Wolę, by mu załatwili „druczek”. W trakcie rozmowy spytała. – Dlaczego pan nie mieszka na Mokotowie? My tu dbamy o ludzi… Potem zapytała, gdzie się urodził. Kiedy w odpowiedzi usłyszała, że w Pińsku (ona koło Nowogródka), że jest Poleszuk, to wstała i ucałowała go. Głaskała go po rękawie i zaczęli przekrzykiwać się we wspomnieniach. Była to cudowna scena. Wydała mu zaświadczenie. – Nie szkodzi, że nie z Mokotowa, biorę pana pod swoją opiekę – orzekła.

Kiedy wyszliśmy, powiedziałam wzruszona do Rysia:

– Popatrz, przepisy są w całym kraju takie same, ale zobacz, jaka może być różnica. Jak człowiek może być traktowany życzliwie, pomocnie.

– Oczywiście, tutaj jest jeszcze ciepło, którego nie uświadczysz na Zachodzie – powiedział.

Nie wiedziałam wtedy, że zamieszkam na stałe w Stanach Zjednoczonych.

Jadąc do Anglii, spytał mnie o moich przyjaciół, których odwiedzałam. Podzieliłam się

londyńskimi adresami, telefonami. Urządzono mu prywatne piękne spotkanie, zachwyceni nim byli absolutnie wszyscy. Spotkał go duży sukces, pokazywano w BBC, gazety cytowały na pierwszych stronach. Powiedział mi po powrocie:

– Polska jest enklawą, jedynie jeszcze tu ludzie czytają książki. Na Zachodzie co godzinę wychodzi 180 książek, ale największą popularnością cieszą się filmy, kasety, wideo (…). Trzeba się zastanowić – jaki temat ma rangę światową i dopiero wtedy pisać. Co z tego, że powstanie jeszcze jedna powieść?…

W 1987 roku z Anglii przyjechał zespół Teatru Królewskiego ze sztuką według książki Kapuścińskiego „Cesarz”, którą pokazano w teatrze „Studio”. Oboje z Tomkiem byliśmy zaproszeni przez Ryszarda. Rolę tytułową grał karzeł przykuty do wózka inwalidzkiego.

Pamiętam, jak Rysio autentycznie cieszył się swoimi pięknymi sukcesami w świecie. Przynosił w teczce książki – tłumaczenia. Wszyscy się z nim cieszyliśmy.

Przytoczę jego karteczki z końca lat 80:

> *St. Anthony’s College, Oxford OX2 6JF England)*
> *Oxford, 10. 5.86*
> *Kochana Oleńko! Oxford tylko na pocztówce jest taki słoneczny, w rzeczywistości leje tu bez przerwy, jest zimno i pisząc do Ciebie siedzę w kurtce. Zmarznięty i z grypą, a jest chyba 10 maja. Będę tutaj do końca czerwca. Akurat wydali w Londynie „Szach-in-Szacha” (równocześnie wyszedł we Francji i RFN – z tego powodu mam ciągłe zawracania głowy o wywiady. Tutaj wykładam, czytam, mam wieczory autorskie – dużo wszystkiego. Co u Ciebie? Serdeczności dla Tomka!*
> *Całuje Cię i ściskam najmocniej.*
> *Rysiek*

Ryszard Kapuściński
St. Antony's College
Oxford OX2 6JF
England

Pocztówka z Gubałówki bez daty (koperta się nie zachowała)

Oleńko, słonko złote – dzięki za uroczą kartkę. Tu jest bardzo pięknie, pogodnie, biało górzyście. Mnóstwo kolegów, bo odbywają swoje mistrzostwa narciarskie. Ja, jako człowiek, który nigdy nie miał nart na nogach, występuję w roli sędziego.
Jesteś urocza, że o mnie pamiętasz. Zaraz po powrocie zadzwonię.
Całuję mocno
Rysiek

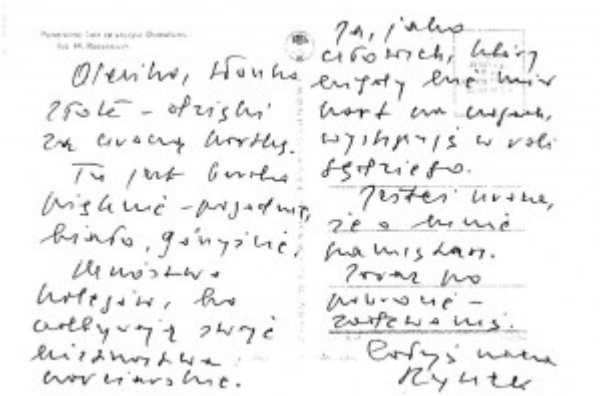

Oslo, 25 sierpnia 1986
Droga Oleńko i Tomku!
Pozdrawiam Was serdecznie z Oslo. Pięknie tu, trochę jak w Krynicy, albo w Zakopanem Ludzie bardzo sympatyczni.
Wracam początek września – zadzwonię.

Pozdrawiam serdecznie
Rysiek

Gdy odwiedziłam Polskę w 1990 roku, zaprosił mnie i mojego męża, Normana, do restauracji „Harenda” na Krakowskim Przedmieściu. Ładnym angielskim opowiadał o pobycie w Filadelfii na stypendium. Mój powściągliwy mąż odtąd stał się jego wielkim zwolennikiem. Kupowaliśmy amerykańskie wydania książek Rysia i obdarowywaliśmy naszych przyjaciół.

Gdy każdego roku przyjeżdżałam do Polski, telefonowałam, czasami z wahaniami, myśląc, że jest zajęty i że nie chcę mu zabierać czasu. – Musisz obiecać, że zawsze będziesz dzwonić, mówił. Znajdywał czas i szliśmy na kawę. Pokazał mi swój nowy dom na Kolonii Staszica, jak kiedyś pokazał mieszkanie w blokach na Jelonkach, przy ulicy Pustola. W obu miejscach zwrócił mi uwagę na widok z okna – na drzewa.

Książki Ryszarda wydawane po 1990 roku mam w bibliotece w domu w Delaware. Od kiedy mieszkam w Stanach Zjednoczonych czytałam o nim na łamach nowojorskiego „Nowego Dziennika”, dodatku literackiego „Przegląd Polski”, który starannie prowadzi Julita Karkowska. Informowała o każdej nowej nagrodzie i wyróżnieniu. Doskonałe omówienia kolejnych książek drukował Marek Kusiba, zachowałam kilka z nich w swoim archiwum. Pamiętam też wywiad Czesława Karkowskiego przeprowadzony w czasie kolejnego pobytu Kapuścińskiego w Ameryce.

Zachowałam wiele wycinków na temat Ryszarda Kapuścińskiego drukowanych w prasie amerykańskiej. Widziałam na popularnej stacji PBC rozmowę z nim znanego dziennikarza, Charlie Rose.

W 2006 roku Rysio napisał, że ma kłopoty ze zdrowiem. Miał je od dawna, po powrotach z podróży, miał też zabiegi na kręgosłup.

Przyjechałam do Polski jako stypendystka Fulbrighta na dziewięć miesięcy. W przeddzień mojego spotkania w Salonie Pisarzy w Bibliotece Narodowej, Alicja Kapuścińska, nagrała wiadomość, że nie będzie obecna, bo Rysio ma tego dnia operację.

Zadzwoniłam kilka dni później, rozmawiałyśmy ponad godzinę. Umówiłyśmy się, że zatelefonuję za tydzień, kiedy miały być wyniki analiz.

Następnego dnia Ryszard Kapuściński zmarł.

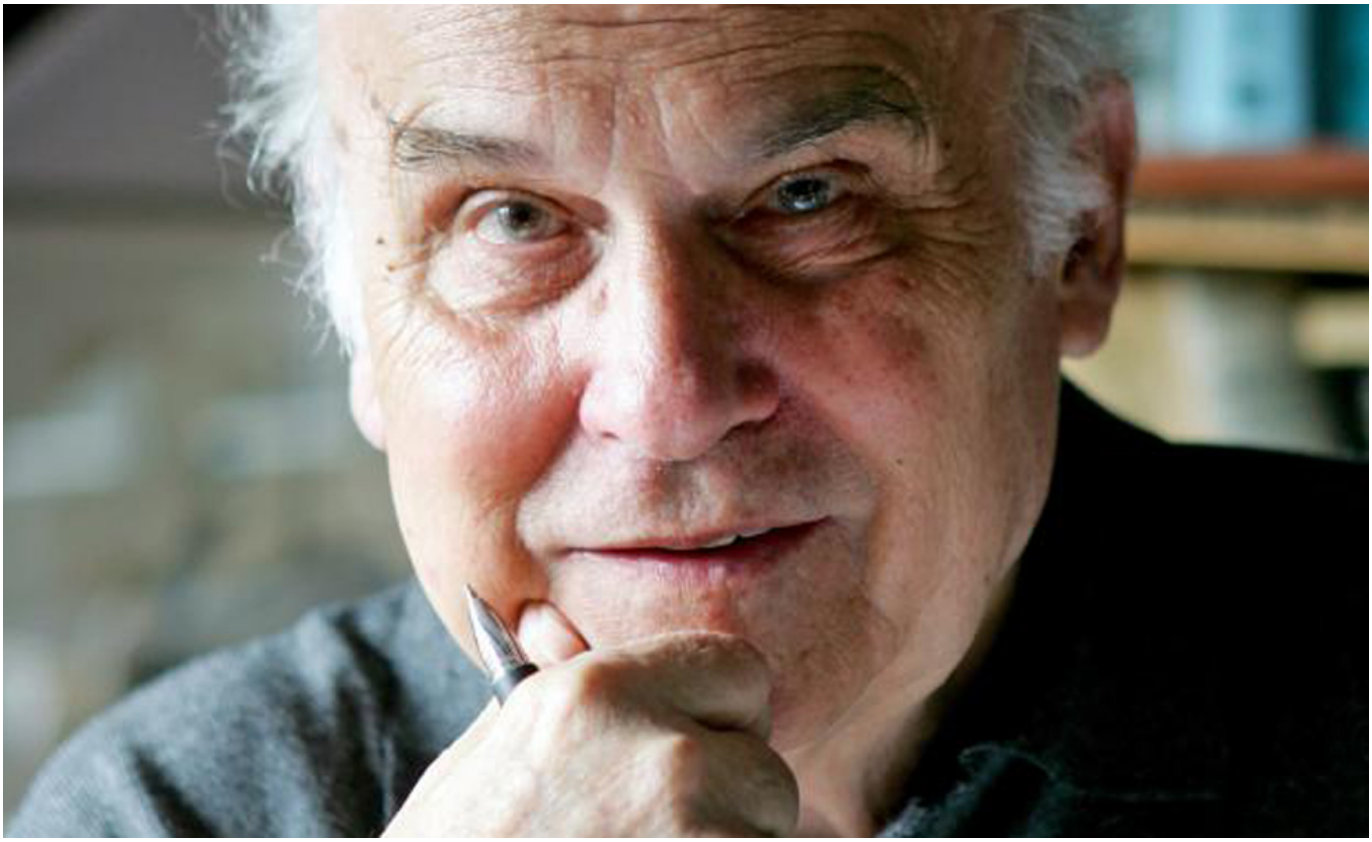

Ryszard Kapuściński, fot. DailyMaverick.co.

W „Lapidarium" napisał, że w miarę jak upływa czas, życie staje się coraz bardziej podróżą w głąb naszej własnej przeszłości, w głąb siebie. I że ci nowi przybywający na świat coraz mniej nas obchodzą, bowiem nie przybywają dla nas.

Cieszę się, że miałam szczęście, dar od losu, znać Ryszarda Kapuścińskiego.

Ogromnie sobie cenię, że Ryszard przybył na świat „w tym samym czasie”.

Mam w saloniku krzyż koptyjski, prezent od niego. Mam Różę wiatrów, koraliki. I mam, jak my wszyscy, jego książki.

***

Mam wiele książek z dedykacjami Kapuścińskiego. Wszystkie dedykacje są serdeczne i pełne uczuć. Jakby miał ich w sobie tak wiele, że chętnie nimi obdarzał innych.

Pierwodruk wspomnienia Aleksandry Ziółkowskiej-Bohem: „List oceaniczny” – Dodatek Kulturalny „Gazety” pod redakcją Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, luty 2007, nr 50.

http://www.gazetagazeta.com/artman/publish/article_17083.shtml

Zobacz też:

http://aleksandraziolkowskaboehm.blogspot.com/2017/01/ryszard--kapuscinski-wspomnienie.html

GALERIA

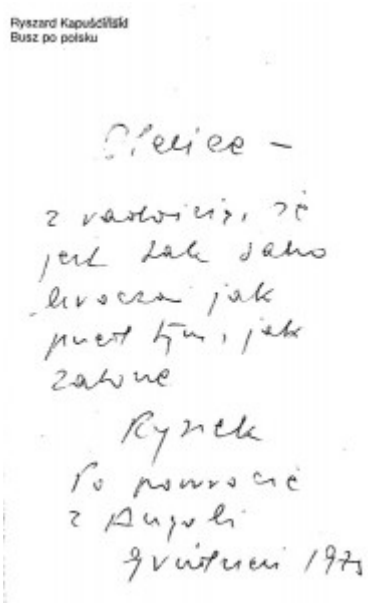
Ryszard Kapuściński
Busz po polsku

Oleńce –

z radością, że
jest tak samo
urocza jak
przed tym, jak
zabrane

Ryszek
Po powrocie
z Angoli
grudzień 1975

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

Chrystus z karabinem na ramieniu

Kochanym
Olenice i Tomkowi
od tego, którego
jest z Wami
tak dobre
Ryś Kapuściński
Warszawa
16.10.1987

CZYTELNIK · WARSZAWA 1976

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

DLACZEGO ZGINĄŁ KARL VON SPRETI

Olenice –
z chęcią
napiszemy
XX książek.
Ryś
W-wa 12.4.75

Kapuściński
Jeszcze dzień życia

Kochanej
Olenice –
życzę sobie,
żeby była dla
mnie taka jak
zawsze
Rysek
W-wa 20.5.78

Ryszard Kapuściński

Kochanym
Olenice i Tomkowi
z radością że Ich
widzę, z nadzieją,
że spotkamy się
wkrótce

z tęsknotą

Rysiek
Warszawa 7.11.1990

Ryszard Kapuściński

Notes

Kochanej
Olenice
na Imieniny

Rysiek
26.6.
87

Czytelnik · Warszawa 1986

Ryszard Kapuściński

Szachinszach

Czytelnik
Warszawa
1983

Kochanej
Olenice
z ciepłą
wdzięcznością
za wszystko

Rysiek
Warszawa 27.3.84

Ryszard Kapuściński

THE EMPEROR

Translated from the Polish by
William R. Brand and
Katarzyna Mroczkowska-Brand

To jest
Książka
dla Olenki
wraz ze słowem
z Londynu
z życzeniami
Ryszard

PICADOR
published by Pan Books

Warszawa
22.8.84

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

Chrystus z karabinem na ramieniu

Olenice,
z wdzięcznością
za silny
kaktusek +
kwiatki
Ryszard Kapuściński

CZYTELNIK. WARSZAWA 1975

G-ska 18.5.75